

MARGINESY

Rozterki

Ania i Maciek poznali się jeszcze w czasach wczesnej podstawówki. On ciągnął ją za rude warkoczki i drwił z jej krzywych nóg, ona nienawidziła go z całego serca. Znajomość przez lata wielokrotnie ewoluowała, aż gdzieś w połowie szkoły średniej stali się parą. Wyjechali ze swojego miasteczka razem na studia, w wielkiej tajemnicy przed rodzicami, wynajęli wspólne mieszkanie. Często się kłócili, ale zawsze godzili. Niby wszystko układało się tak, jak powinno, choć coraz częściej w kłótniach zdarzało się, że pojawiała się obustronna chęć skończenia znajomości. Chwilę potem wszystko było tak jak wcześniej. Pod koniec studiów, pod wpływem lawiny oświadczeń znajomych, Anka i Maciek sami zaczęli myśleć o wzięciu ślubu... Maciek wybrał i kupił pierścionek, na który pożyczył pieniądze od kumpla, i w sumie nawet zaczęli przygotowania – szukali restauracji, przeglądali katalogi. I gdy dwa lata później wszystko było już zaplanowane i przygotowane, sukienka kupiona, a do uroczystości pozostały niecałe dwa tygodnie, Anka obudziła się nad ranem złana potem. Popatrzyła na Maćka i jedyne, o czym myślała, to to, że nie jest pewna, czy jest on osobą, z którą chciałaby budzić się przez resztę życia. Wstała z łóżka i poszła na spacer. Po powrocie obudziła Maćka i zakomunikowała mu, że odwołują ślub i dla niej ta kwestia nie podlega dyskusji. Żeby uniknąć rozmów i tłumaczeń, jeszcze tego samego dnia spakowała się i wyjechała do Londynu, gdzie mieszkała jej dobra koleżanka z liceum.

Przez kolejne tygodnie Anka pisała, robiła zdjęcia i zastanawiała się, co dalej zrobić ze swoim życiem. Nie kontaktowała się z Maćkiem – nie wiedziała, czy na pewno chce całkowicie urywać kontakt, czy jest szansa dla ich związku. Żeby zarobić trochę pieniędzy, zaczęła pracować jako barmanka w jednej z popularnych knajp, przez którą co wieczór przewijały się wielkie grupy przystojnych facetów. Jeden z nich zwrócił na Annę uwagę już pierwszego popołudnia, kiedy zaczęła pracę. Od tego czasu przychodził codziennie, żeby ją zobaczyć i chwilę pogadać. Pewnego dnia został dłużej, poczekał, aż Anka zamknie knajpę, i odprowadził ją do domu. Sytuacja powtórzyła się kilkakrotnie, aż odważył się zaprosić ją na randkę, pierwszą, drugą i piątą... Anka, niepewna tego, czego naprawdę chce, najpierw mocno się opierała, ale po kilku tygodniach całkowicie uległa Anglikowi. Spotykali się tak jeszcze może trzy, cztery tygodnie, kiedy on jednak stwierdził, że ten związek nie ma dla niego przyszłości, i zostawił ją mocno zaskoczoną całą sytuacją.

Anka jednak zaleczyła znajomość kilkoma drinkami i wyjściami ze znajomymi i starała się zapomnieć o wszystkim. Okazało się to jednak trudniejsze, niż mogłoby się wydawać, bo niedługo miało się okazać, że jest w ciąży. Z każdym dniem dziewczyna czuła się trochę gorzej, aż okazało się, że praca w knajpie jest dla niej zbyt wykańczająca i musi ją rzucić. Po wielu ciężkich nocach spędzonych na dokładnym przemyśleniu różnych trudnych spraw, podjęła jeszcze trudniejszą decyzję niż ta, jaką był wyjazd do Anglii. Wróciła do rodzinnego miasta, choć – jak sobie tłumaczyła – tylko na jakiś czas.

Anka spodziewała się, że jej powrót będzie przyjęty z radością. Nic bardziej mylnego – matka nie odzywała się do niej, bo zawiodła wszystkie jej nadzieje, jakimi był piękny, lukrowany, różowo-kwiatkowy ślub z Maćkiem. Ojciec nie był w stanie przelknąć tego, że przerwała studia. Oliwy do ognia dolewała jej młodsza o cztery lata, niespełna 20-letnia siostra, która właśnie zaręczyła się ze swoim chłopakiem. Rodzice nie darowali sobie wytykania Ani na każdym kroku tego, że jej młodsza siostra robi wszystko, czego oni spodziewali się po niej.

Anka leżała więc w pokoju wpatrzona w sufit, otoczona zabawkami z dzieciństwa i przykryta kocem, który dostała od ciotki tuż po urodzeniu i zastanawiała się, co zrobić. Nie mogła w lawinie narzeków rodziców powiedzieć im o ciąży. Nie mogła na razie wrócić do Anglii, nie mogła wrócić do miasta, gdzie studiowała – nie miała na to pieniędzy i sił. W nocnym przypływie wątpliwości i smutków sięgnęła po telefon i napisała esemesa do Maćka. On niespodziewanie szybko odpisał. Dwa dni później spotkali się na kawie, a Anka opowiedziała mu o wszystkim, co przydarzyło jej się przez ostatnie miesiące. Maciek mocno się zasępił, wyszedł zapalić, a gdy wrócił, przedstawił Ance swój plan na całą sprawę. Nie był on skomplikowany i – rzeczywiście – rozwiązywał większość zalegających na barkach Anki problemów.

Tym rozwiązaniem miał być ich błyskawiczny ślub. Choć Anka nie podeszła do pomysłu zbyt hurraoptymistycznie, stwierdziła, że nawet jeśli nie jest to najdojrzalsze wyjście, to na pewno jest takie, jakiego wszyscy od niej oczekują. Trzy tygodnie później wszystko było gotowe. Uroczystość miała być mała, skromna i cicha. Brzuszek Anki stawał się już powoli widoczny, ale ona sama ciągle zwlekała z ujawnieniem tajemnicy wszystkim dokoła.

Dwa dni przed samą uroczystością Anka nie mogła spać. Czuła przerażający, kłujący ból w całym ciele, wyglądała jak zombie i bez przerwy wymiotowała. Dzień przed samą uroczystością wiedziała już, że do niej nie dopuści, a jeśli tak się stanie – spali za sobą absolutnie wszystkie mosty. Już w dniu ślubu, ubrana w sukienkę, z kwiatkami we włosach, poczuła bóle w dole brzucha. W tajemnicy przed wszystkimi pojechała na pogotowie, ale szybkie badania nie wykazały żadnych nieprawidłowości. Prosto z pogotowia pojechała jednak nie do urzędu, a do domu, skąd wzięła przezornie zawsze spakowaną walizkę. Wychodząc, wpadła na Maćka. Ten nic nie powiedział, tylko patrzył szklonymi oczami, jak ona wsiada do taksówki.

Maciek więcej o Ance nie usłyszał. Napisała do niego kilka listów, ale nawet ich nie otwierał. Do rodziców nie odezwała się w ogóle.

Wiele lat później przyjechała z jedenastoletnim synem i chłopakiem. Jej siostra w tym czasie zdążyła już dwukrotnie wyjść za mąż i dwukrotnie się rozwieść. Maciek podobno przez wiele miesięcy nie mógł sobie poradzić z jej zniknięciem. Rodzice, po długim okresie żłości i pretensji, zaakceptowali wszystko takim, jakim się stało, choć chyba nigdy tego nie zrozumieli. ▄

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

Futbolowa mizéria

Początek czerwca obfitował w ciekawe wydarzenia sportowe z udziałem polskich reprezentantów – ciekawe i istotne dla dalszych losów polskich sportowców. Największe zainteresowanie towarzyszyło występowi naszych futbolistów. Żył tym olbrzymia rzesza kibiców. Rzecz zrozumiała, a to dlatego, że rywalizacja w eliminacjach do mistrzostw świata w 2014 r. w Brazylii wkroczyła w decydującą fazę. Każde zwycięstwo w kolejnym meczu może zwiększyć szanse na awans, względnie na zajęcie drugiego miejsca dające prawo do gry w barażach. W takiej sytuacji znalazła się reprezentacja Polski. Na początku rywalizacji wszystko układało się w miarę dobrze. Aż do meczu z Ukrainą.

Przeigrana na własnym terenie (na Stadionie Narodowym w Warszawie) i na własne życzenie mocno skomplikowała sytuację w naszej grupie eliminacyjnej oraz zmniejszyła szanse naszej reprezentacji na awans. Kompromitująca porażka po kompromitującej grze była zimnym prysznicem dla naszych zawodników, szkoleniowców i szefów futbolowego związku. Uznali, że był to nieszczęśliwy... wypadek przy pracy – w następnych meczach, mówili, będzie zdecydowanie lepiej i drużyna będzie wygrywała. Faktycznie – pokonaliśmy San Marino 5–0. To było do przewidzenia, bo nikt nawet przez moment nie zakładał, że nasza reprezentacja może przegrać z amatorami, którzy grę w piłkę nożną traktują jako sympatyczną sportową rekreację. Porażka z Ukrainą miała zmobilizować naszych zawodników i ekipę szkoleniowców do dobrego przygotowania się do skutecznej gry w następnych meczach – w końcu reprezentacja Polski nie straciła jeszcze szans na awans do finałów MŚ 2014. Tak uznali szefowie PZPN i wielu optymistycznie oceniających naszą reprezentację dziennikarzy.

W tej sytuacji mecz wyjazdowy z Mołdawią urosł do rangi pojedynku z cyklu „gra o wszystko, gra o życie”. Spotkanie towarzyskie z zespołem Liechtensteinu miało przygotować polski zespół do skutecznej gry. Była to konfrontacja z wyjątkowo słabym przeciwnikiem, która nie przyniosła żadnych korzyści szkoleniowych.

Mecz w Kiszyniowie nasza reprezentacja miała pewnie wygrać i zachować szanse na walkę co najmniej o drugie miejsce w grupie eliminacyjnej. Mało który z kibiców zakładał, że polski zespół może stracić punkty w tym pojedynku, w końcu reprezentacja Mołdawii zalicza się do europejskich słabeuszy, a w reprezentacji występują nieznanymi nikomu zawodnicy, grający głównie w krajowych klubach. W rankingu FIFA Mołdawia sklasyfikowana jest na 134. miejscu, a nasza reprezentacja na 65. pozycji. Jednakże z takiego miejsca polskiej drużyny nie można się wcale cieszyć – po prostu też zaliczamy się do słabeuszy. A mecz między dwoma słabeuszami może się różnie zakończyć.

Konfrontacja z Mołdawią potwierdziła po raz kolejny, że nie mamy drużyny reprezentacyjnej, która potrafi wygrywać. W pierwszej połowie polski zespół grał w miarę przyzwoicie. Zawodnicy stworzyli wiele dobrych sytuacji do zdobycia goli. Niestety, nie potrafili umieścić piłki w siatce, a nasza obrona nie była zbyt szczelna. Skończyło się remisem, co należy uznać za porażkę. Do minimum spadły szanse polskiej drużyny na zajęcie drugiego miejsca w grupie. Polską reprezentację czekają jeszcze mecze u siebie z Czarnogórą oraz na wyjeździe z San Marino, Ukrainą i Anglią.

Niepoprawni optymiści twierdzą jednak nadal, że nasza reprezentacja ma jeszcze szanse na występ w mistrzostwach świata. Teoretycznie tak jest. Po prostu należałoby wygrać wszystkie mecze i zdobyć 12 punktów. Przy obecnych 9 dałoby to 21 punktów – i to mogłoby zapewnić polskiej drużynie drugie miejsce w grupie oraz grę w barażach o awans. Moim zdaniem są to marzenia... ściętej głowy. Dlatego dziwię się wielu dziennikarzom, którzy podgrzewają atmosferę i niepotrzebnie podniecają rzesze futbolowych kibiców. Równocześnie zaczęto szukać winnego za niepowodzenie naszej reprezentacji. Jak to w takich sytuacjach bywa, cała krytyka skoncentrowała się na trenerze Waldemarze Fornaliku. W jednej z gazet przeczytałem, że reprezentacja Polski zamiast grać coraz lepiej, gra coraz gorzej, choć szansa na mundial jeszcze nie straciła. By jednak dalsza walka miała sens, potrzebna jest radykalna zmiana stylu, nastawienia i pomysłu na jej budowanie. Do słów tych nic dodać, nic ująć. Wiadomo przecież nie od dzisiaj, że istnieje taka konieczność. No i za brak pomysłu na budowanie przyzwoitej drużyny wini się głównie Waldemara Fornalika. W efekcie w Przeglądzie Sportowym bije po oczach wielki tytuł „Fornalik powinien odejść”. Przypomina mi się, że nie ma doświadczenia trenerskiego, że jedynym jego osiągnięciem było doprowadzenie przeciętnego Ruchu Chorzów do wicemistrzostwa kraju. Wytyka mu się, że ma do dyspozycji zawodników grających w silnych zespołach zagranicznych, w których stanowią stabilne punkty swoich drużyn, a nie potrafi stworzyć z nich rozumiejącego się kolektywu. Trochę jest w tym racji.

Nie zgadzam się jednak na obarczanie całą winą tylko Waldemara Fornalika. Na mało skuteczną grę naszej reprezentacji mają wpływ wcześniejsze wydarzenia i sytuacje – mam na myśli przede wszystkim chaotyczne poczynania poprzedniego trenera kadry Franciszka Smudy. Pozostawił on po sobie rozklekotaną reprezentacyjną kadrę. A przecież to wielu dziennikarzy pod wpływem kibiców wykreowało Smudę na selekcjonera naszej futbolowej kadry. Waldemar Fornalik przejął po swoim poprzedniku rozklekotaną ekipę i zaczął próbować coś zmieniać na lepsze. Na pewno w tych działaniach popełnił jakieś błędy, na przykład rezygnując z Obraniaka. Moim zdaniem za mało miał jednak czasu na dokonanie większych korekt w grze naszej reprezentacji.

Krytykując Waldemara Fornalika, niedokładnie ocenia się jednak poszczególnych zawodników. Założenia taktyczne, jakie ustala trener przed meczem, mogą być wysmienione. Rzecz jednak w tym, że realizują je zawodnicy, a nie trener. A nasi zawodnicy po wysłuchaniu trenerskich uwag przed meczem w trakcie spotkania zapominają o nich i zaczynają grać po swojemu. Inaczej mówiąc – grają bezmyślnie i chaotycznie. Za słabą i nieskuteczną grę naszej reprezentacji nie można obwiniać wyłącznie trenera – wszystko w głowach i nogach zawodników. Przy czym patrząc na naszych reprezentantów, odnosi się wrażenie, że zapominają o głowie i kierują się tylko nogami, a takie podejście nie może przynieść pozytywnych efektów. Dlatego należy zacząć od zmiany mentalności naszych graczy. Należy ich zachęcić do gry na co najmniej takim samym poziomie, na jakim grają w swoich klubach. Trzeba ich zachęcić (zmusić) do gry zaangażowanej, ambitnej i nieustępliwej, bo grając tak jak do tej pory, polska reprezentacja nie będzie odnosić liczących się sukcesów, a we wspomnianym rankingu FIFA będzie się przesuwać coraz niżej. Na dzisiaj mogą tylko powiedzieć, że gorzej już być nie może.

Przyjąłem ze zrozumieniem słowa prezesa PZPN Zbigniewa Bońka, że nie przewiduje zmiany na stanowisku selekcjonera kadry. Waldemar Fornalik pozostanie – i słusznie. Należy dać mu szansę na prowadzenie reprezentacji aż do eliminacji mistrzostw Europy 2016, które zaczynają się jesienią 2014 r. – zaraz po mistrzostwach świata w Brazylii. Przygotowanie rozumiejącej się drużyny do tej rywalizacji winno być głównym celem trenera kadry oraz decydentów z PZPN na czele z prezesem Zbigniewem Bońkiem.

HENRYK MARZEC